

• ZAJMUJĄCE CZYTANKI

POD REDAKCJĄ MARJI BUYNÓ-ARCTOWEJ

BYŁO TO BARDZO DAWNO

POWIASTKA

NAPISAŁA

TERESA JADWIGA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.
1917



72517

K-52/72/78868

Geprüft u. freigegeben durch die Kais. Deutsche
Presseabteilung
Warschau, den 22/III. 1917. T.-N^o 4907. Dr.N^o 323.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

I.

Pan Niziński zabierał się właśnie do snu, gdy z pokoju Józia doszły go jakieś szmery; wziął więc świecę i, zbliżywszy się pocichu do drzwi pokoju syna, otworzył je niespodziewanie. Poczłł chłodny powiew wiatru i świeca mu zgasła; lecz przedtym zdołał spostrzec, że coś mignęło między łóżkiem Józia i piecem, za którym, jak to często bywa w starych dworach wiejskich, była obszerna kryjówka. Pies, kot, czy dzieciak? — dojrzyć nie mógł.

W pokoju panowała cisza; Józio zdawał się spać.

Pan Niziński dobył z kieszeni hubkę i krzesiwo, zapalił świecę powtórnie i obejrzał się po pokoju: okno było otwarte, a chłopiec leżał z twarzą, ukrytą w poduszce; zamknął więc przedewszystkim okno, by psotnik-wiatr znowu nie zgasił świecy, potym, przystąpiwszy do łóżka, wziął syna za ramię i zawołał:

— Józiu!

Chłopiec usiadł natychmiast na posłaniu i spojrzał na ojca niespokojnie.

— Czemu nie zamknąłeś okna?

Józio nie odpowiadał.

— Kto był u ciebie? — zapytał powtórnie ojciec.

Lecz i tym razem nie otrzymał odpowiedzi.

Zachmurzyła się groźnie twarz pana Nizińskiego.

— Co to znaczy? — zapytał tym razem bardzo surowo — ukrywasz coś przede mną?... W przeddzień rozstania taką mi przykrość wyrządzasz?

— Tatuńciu! doprawdy, nie zrobiłem nic złego! — zawołał Józio i wybuchnął łkaniem.

— Więc czemuż nie odpowiadasz na moje pytania?

— Bo, bo... — począł się jękać chłopiec, lecz nie dokończył.

Spojrzenie ojca znowu sposepniało, już miał na ustach ostrą wymówkę, gdy poczuł, iż ktoś objął jego kolana: u nóg jego klęczał chłopiec bosy, w koszuli grubej, w majtkach szarych drelichowych. Pan Niziński poznał syna karbowego.

— Adamek — rzekł zdziwiony — co ty tu robisz?

— Przyszedłem pożegnać panicza; jutro skoro świt, ojciec zapędzi mnie do pracy a panicz rano wyjeżdża i nie zobaczymy się aż za cztery miesiące — odparł chłopiec.

— Więc tak kochasz panicza?

— Jakże go nie mam kochać, gdy jest dla mnie taki dobry, uczy mnie tylu ciekawych rzeczy...

— Lubisz się uczyć?

— Oj, ej!

— A cobyś wolała czy mieszkać w posępnym klasztorze i ślęczyć od rana do wieczora nad książką, czy pozostać w Żarkach, hasać po błoniach na żrebakach, lub patrzeć, jak się pasą i przygrywać im na fujarce?

— Tatuńciu! — wykrzyknął Józio, zeskaakując naraz z łóżka i obejmując kolana ojca — oddaj Adamka razem ze mną do szkoły!

— Ależ on nic jeszcze nie umie!

— Umie, umie wszystko to, co ja; biegałem do niego codziennie w południe z książkami na błonie albo wieczorem do chaty i powtarzałem z nim wszystko, czego nauczyłem się rano z panem nauczycielem; Adamek jest bardzo zdolny — opowiadał Józio.

Pan Niziński spojrzał na syna z miłością, poczym odezwał się głosem wzruszonym:

— Będzie z ciebie kiedyś człowiek.

A zwróciwszy się do Adamka, dodał:

— Noc jest do spania, wróć więc do chaty i śpij; jutro powiesz ojcu, żeby przyszedł wczesnym rankiem do mnie... Chcę z nim pomówić o tobie... Więc chciałbyś się uczyć? Zamiast odpowiedzi, Adamek pochylił się do nóg pana, a z oczu jego potoczyły się łzy.

Potym rzucił się na szyję Józiovi.

— Jakiś ty dobry, a ja, ach, jam taki szczęśliwy! — powtarzał, całując go.

*

*

*

Józio i Adaś poznali się pewnego ranka nad strumieniem, który płynął przez łąkę wsi Żarki, należącej do pana Nizińskiego. Przyszli obaj z siatkami na raki. Józiovi nie powodziło się, a Adamek za każdym razem wydobywał pełną siatkę z wody. Chłopcy zagadali do siebie: Adamek zwrócił uwagę panicza, że się tak raków nie łowi i począł go uczyć tej sztuki; Józio skorzystał z nauki i przyniósł matce na wieczerzę pół kopy raków.

Od tego dnia chłopcy zbliżyli się do siebie: Józio poprosił matkę, aby mu pozwoliła odwiedzać Adamka i zabierać go czasami do dworu. Matka zgodziła się chętnie i odtąd Józio chwile wolne od nauki spędzał zawsze razem z Adasiem. Chłopcy uczyli się wzajemnie: Józio Adamka tego, czego rano nauczył go nauczyciel, który przygotowywał go do szkoły; Adamek zaś Józia uczył hasać oklep na żrebackach, rzucać celnie kamyki z procy i pływać w strumieniu. Nie marnowali wolnego czasu na leniwej drzemce, lecz dzielili się wzajemnie tym, co każdy z nich posiadał.

Dobrze im było razem, lecz myśl rychłego rozstania nieraz psuła im swobodne chwile.

W wigilję wyjazdu Józia do Warszawy spędzili cały wieczór na cichej rozmowie.

— Tęsknić będę w wielkim mieście za Żarkami, za ojcem, matką i za tobą — szeptał Józio.

— A mnie tęsknota za tobą zasłoni słońko nasze jasne, łąki tutejsze zielone i kwiatecz-



ki, które na nich wabiają ludzi — odpowiadał Adamek.

— Przyjdiesz jutro do dworu, gdy będę wyjeżdżał? — zapytał Józio — ojciec kazał, by Jędrzej był gotów na godzinę 9-tą rano.

— Nie przyjdę, bo mam iść w pole, pomagać żniwiarzom; tak kazał ojciec — odpowiedział Adamek i westchnął ciężko.

— Więc przybiegnij dziś jeszcze po wieczery, chociażby nocką. Zostawię okno otwarte; psy cię znają, nie zaszczeka ani jeden — rzekł Józio. — Cóż, przyjdiesz?

— Przybiegnę — odparł Adamek. I dotrzymał słowa.

II.

Józio i Adamek zostali pomieszczeni w szkole Jezuitów w Warszawie. Panowała tam surowa reguła: za lenistwo sadzano do tak zwanej oślej ławy, która stała w klasie na uboczu; za psoty były inne kary, jeszcze surowsze.

Józio i Adamek uczyli się pilnie, nie lekali się przeto oślej ławy; spoglądali z dumną pogardą na to miejsce hańby dla leniuchów — ale psocić lubili obaj.

Weseli i serdeczni, liczyli w szkole wielu przyjaciół, a nieprzyjaciół zaledwie paru. Pilni uczniowie, chłopcy o sercach gorących i zacnych, pełni prostoty i wesołości, jak oni, polubili ich; próżni panicze, próżniacy, chłopcy zepsuci, patrzyli na nich z niechęcią.

Najpróżniejszym, a jednocześnie najbardziej leniwym w szkole był kasztelan Ciel-ski, który nosił frak błękitny, obcisłe spodnie żółte, pończochy i trzewiki.

Paniczyk ten nienawidził Adamka i Józia, zapewne przez zazdrość, gdyż Józio był pierwszym uczniem w klasie, Adamek drugim, on zaś ostatnim. Z pogardą nazywał Józia szarakiem za jego szary, skromny kontusik, Adamka karbowszczykiem, ponieważ był synem karbowego.

Obaj chłopcy długo udawali, że nie słyszą tych przezwisk, lecz raz Adamek znierpliwił się i zawołał:

— Tak, jestem synem karbowego, który pracuje uczciwie, i tego się nie wstydzę. Lecz wstydzilibym się ubierać, jak małpa, którą kataryniarz po podwórkach oprowadza i każe jej kozły ku ucieście ludzi wywracać.

Chłopcy bawili się właśnie w ogrodzie klasztornym, gdy zaszła ta sprzeczka. Kasztelan miał w ręku kij, którym podbijał piłkę; rozgniewany, przyskoczył do Adamka i uderzył go kilkakrotnie w plecy, wołając:

— Ubiję tego chama!

Koledzy przybiegli rozbroić zwaśnionych; jedni ujęli pod ramiona kasztelanica, drudzy Adamka i zanim Jezuici, zwabieni wrzawą, nadciągnęli, już porządek powrócił, tylko Józio, przechodząc koło kasztelanica, szepnął mu do ucha:

— Nie daruję, jak Bóg na niebie; zaadam satysfakcji, nie teraz, to jutro.

W szkole Jezuitów uczniowie szli spać o dziewiątej; właśnie rozległ się głos dzwonu, który wzywał na wieczerzę, więc parami, w porządku, podążyli do klasztoru; po wie-

czyrzy zmówili wspólny pacierz, poczym rozeszli się do sypialni.

Cisza zaległa wielki budynek szkolny; ksiądz, który tej nocy czuwał nad śpiącymi, oddalił się do swej celki i ukląkł do modlitwy. Z dziedzińca dochodziło go od czasu do czasu naszczekiwanie psów, z sypialni chrapanie chłopców, więc szeptał spokojnie pacierze, odliczając za każdym razem paciorki różańca.

Nagle dobiegł go przeraźliwy wrzask z sypialni, zajmowanej przez tak zwanych paniczów, to jest najzamożniejszych uczniów szkoły. Zerwał się więc z kolan i pobiegł zobaczyć, co się dzieje.

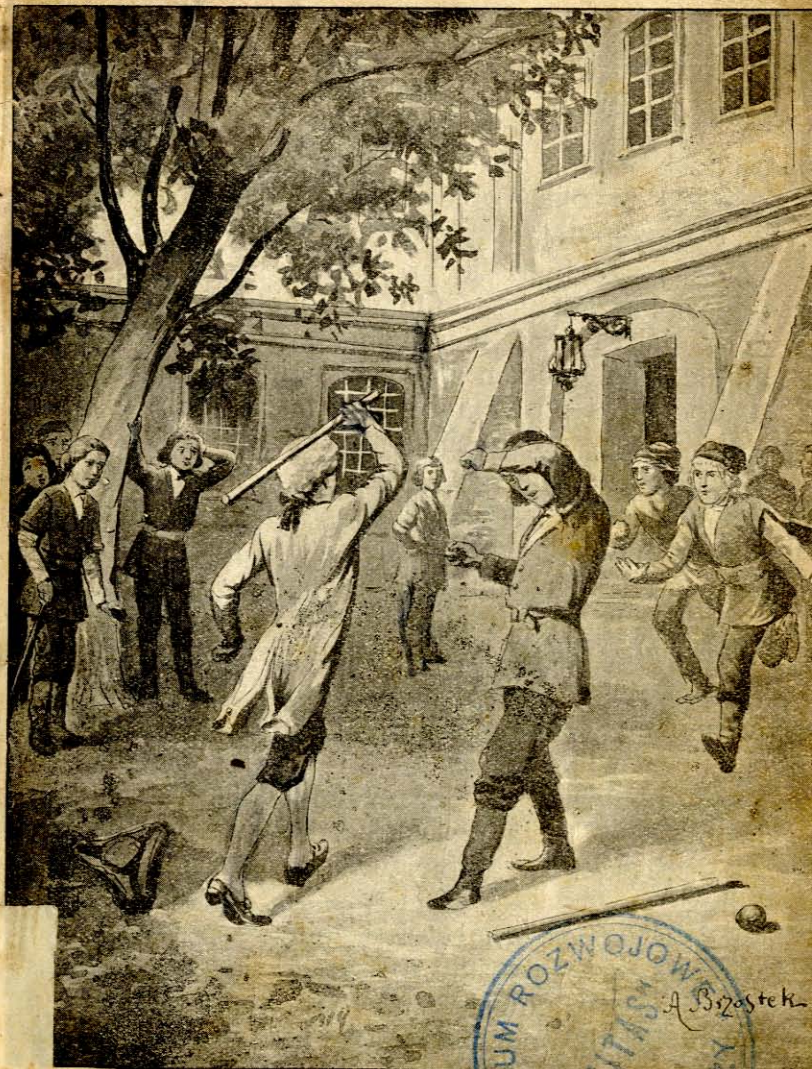
Mijając ciemny korytarz, potknął się o jakiegoś chłopca, który zdawał się uciekać, lecz ksiądz tak był zaniepokojony niebezpieczeństwem, grożącym któremuś z paniczów, iż minął go, prawie nie widząc. Zatrzymał się wreszcie na progu sypialni.

Słabo tlejąca lampka oświeślała obszerną izbę, w której rzędem stało kilka tapczanów.

— Co się stało? — zapytał ksiądz, przebiegając oczami tapczany.

Chłopcy nie spali: jedni zawinięci w kołdry, śmieli się, drudzy siedzieli na pościeli z minami przerażonymi; kilku stało przy kasztelanicy, który płakał, jak mały dzieciak, na cały głos.

Ksiądz domyślił się, że to kasztelanicy stała się jakaś krzywda i przystąpił do niego.



ztelanic, rozgniewany, przyskoczył do Adamka i uderzył go kilkakrotnie w plecy.

— Co ci jest? — rzekł łagodnie — śniło ci się co strasznego?

— Żeby się śniło, toby nie bolało — odparł jeden z uczniów, siłąc się pokonać uśmiech — ktoś go obił; mówi, że Niziński.

— Pozwoliłeś obić się młodszemu od siebie? — zapytał ksiądz.

— Jakże było się bronić, kiedym spał? — odparł kasztelan. — Obmotał mi ręce i nogi dera, jak matka niemowlę powijakiem; nie mogłem ani palcem kiwnąć, ani zawołać na pomoc, bo i głowę mi zawinął. Poczym obił mnie powrozem, a bijąc, powtarzał:

Chrystus nauczał: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego”. — Pastuszkowie pierwsi witali Jezusa, nie panowie; pamiętaj i to jeszcze, że Adamek jest synem szlachcica zagonowego.

Chłopcy śmieli się, słuchając tego wyznania; ksiądz silił się na powagę.

— Miałeś zasłonięte oczy, oskarżenie twoje może więc być niesłuszne — odezwał się po chwili.

— Wszyscy słyszeli, że mi obiecał pomstę — rzekł, łkając jeszcze, kasztelan.

— Tak, tak, obiecywał — potwierdziło kilku.

— Wróćcie do łóżek i śpijcie spokojnie; winny będzie ukarany — rzekł ksiądz.

Cisza zapanowała znów w sypialni, dyżurny ksiądz oddalił się.

Nazajutrz o zwykłej godzinie chłopcy, pomocy i starannie ubrani, zebrali się w wiel-

kiej sali refektarza na wspólną ranną modlitwę; żadnego nie brakowało.

Przed modlitwą nie wolno było rozmawiać, więc milczenie panowało w sali. Za to oczy mówiły wiele: kasztelanic spoglądał posępnie na Józia, zapuchnięte jego powieki przypominały towarzyszom nocną przygodę i na wielu ustach zjawiał się co chwila nieśmiały uśmiech. Józio nie miał miny nasyconego mściciela, Adamek za to spoglądał z tryumfem na wroga.

Po modlitwie chłopcy przeszli w porządku do sali jadalnej, szepcząc pomiędzy sobą, lecz gdy zasiedli wokoło stołu, spostrzegli, że jedno miejsce było próżne... brakło Józia.

Adamek, który miał miejsce przy innym stole, nie spostrzegł na razie nieobecności swego przyjaciela i zabrał się z apetytem do jedzenia.

Kasztelanic, przeciwnie, śledząc ustawicznie wroga, zaraz dopatrzył, iż zatrzymany został po drodze, i odezwał się z ironją:

— Ciepło będzie teraz szlachcicowi; pozna, co to kańczuk jezuicki.

Adamek zbladł, łyżka wypadła mu z ręki, zerwał się z ławy.

— Że ty poznałeś oślą ławę, to jeszcze nie dowód, by Niziński poznał kańczuk! — odparł hardo.

I przeskoczywszy ławę, skierował się ku drzwiom, wiodącym z sali jadalnej do korytarza, lecz ksiądz dyżurny zatrzymał go.

— Gdzie idziesz? — zapytał surowo.

— Do przewielebnego ojca—odparł chłopiec głosem wzruszonym — toć dzieje się krzywda niewinnemu; muszę sprawę wyjaśnić!

— Chodź więc ze mną — odpowiedział ksiądz. I skierowali się do kancelarji.

Przełożony szkoły siedział zadumany, gdy przed nim stanął błady, jak ściana, świeżo pobielona, Adamek.

— Pozwólcie, przewielebny ojcze, powiedzieć temu chłopcu słów parę — odezwał się pokornie dyżurny.

Przełożony podniósł oczy i spojrzał łagodnie na Adamka.

— Co ci jest? — zapytał.

— Przeze mnie został niewinnie skazany na karę Niziński — zawołał drżącym głosem Adamek.

— Jeśliś przyszedł prosić o łaskę dla przyjaciela, to próżne zabiegi — odparł ksiądz — są figle, którym pobłażać nie mogę: obil bliźniego, obity też zostanie. Niewinnym nie jest, sam przyznał się do występku.

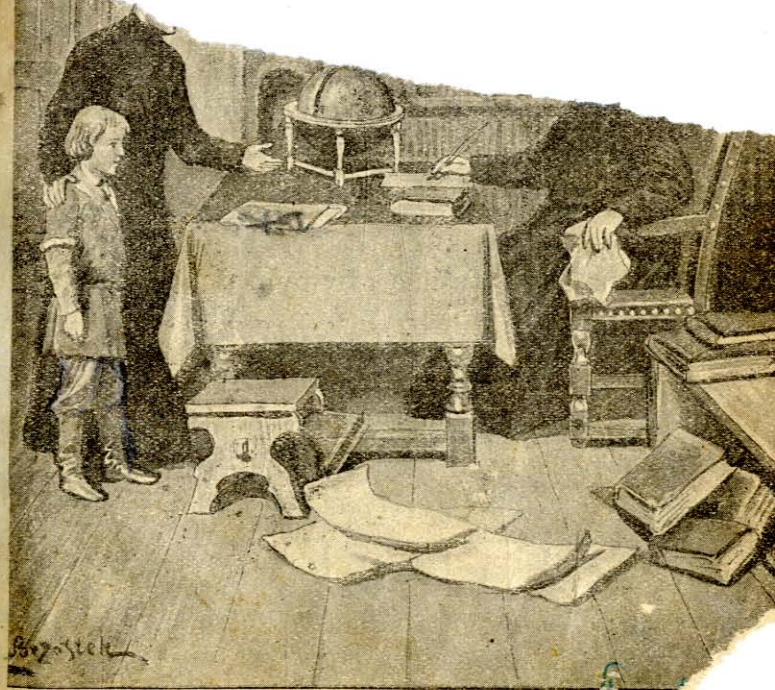
— Wziął cudzą winę na siebie: jam obil kasztelanica! — zawołał z rozpaczą Adamek.

Przełożony porwał się z krzesła.

— Biegnij po chłopca — rzekł do dyżurnego księdza, a gdy ten się oddalił, zwrócił się do Adamka.

— Opowiedz, jak to wszystko było—dodał. Adamek wyznał wszystko szczerze.

— Józio obiecał głośno zemstę za mnie, jam ją w duchu poprzysiągł i w nocy wykonałem—obil mnie, obilem go nawzajem.



„Jeśliś przyszedł prosić o łaskę dla przyjaciela, to próżne

ym

odał.

...został, honor i sprawie-
...tak żądały — rzekł łagodnie przeło-
żony — niechaj próżny panicz pamięta, że
każdy, kto godność człowieka szanuje w so-
bie, bezkarnie znieważać się nie pozwoli.
Gdybyś się nie przyznał do winy, a sprawa
za późno się wyjaśniła, byłbym z tobą postą-
pił inaczej. Wracajcie do szkoły, kasztela-
nica nie zaczepiajcie wszakże: dosyć został
ukarany.

Chłopcy oddalili się, czując, że od tego
dnia przyjaźń ich stała się jeszcze ściślejsza.
